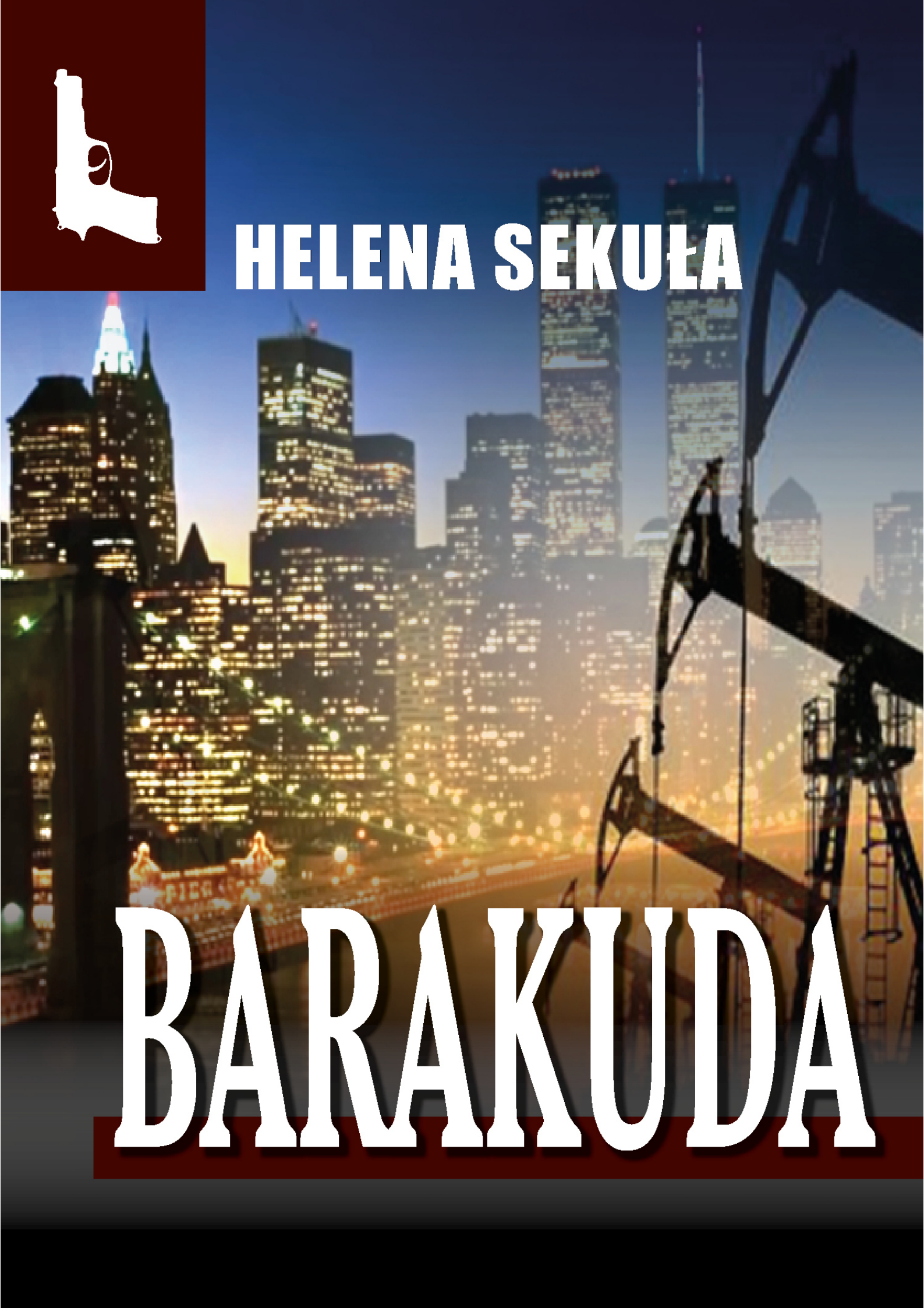




HELENA SEKUŁA

The background of the entire image is a nighttime photograph of a city skyline, likely New York City, with numerous skyscrapers illuminated. In the foreground on the right, the dark silhouette of an oil pumpjack is visible, creating a stark contrast with the bright city lights.

BARAKUDA

Helena Sekuła

BARAKUDA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-08-1

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Rozciągnięty przed drzwiami zagradzał przejście. Leżał na wznak, całym sobą podany ku skłonowi skarpy, rozkrzyżowanymi ramionami ogarniał niebo. Pod sierpniowym firmamentem, srebrzącym odbłaskami dalekich światów, noc wydawała się jeszcze czarniejsza.

Natknęłam się na niego nagle, tuż za olbrzymimi jałowcami, podchodzącymi pod sam dom; mrok rozrzedzały sześćościenne umbry o szybkach z grubego szkła, umocowane po obu stronach ganku na wysięgnikach z kutego żelaza, i tylko jedno okno smużyło ruchomym szkarłatem, jakby w nim dogasała zorza minionego wieczoru. Skupiona na tym znaku życia pośród leśnego odludzia, potknęłam się i upadłam.

Wtedy go zobaczyłam.

Osunęłam się po zdradliwej pochyłości, nie na śliskich wrzosach, jak w pierwszej chwili pomyślałam. Kiedy podniosłam się i uklękłam przy nim, poczułam pod kolanami lepką wilgoć, a wokół jego głowy trawa sprawiała wrażenie unurzanej w cieniu, lecz ten cień nie znikał, tężał ze zmatowiałym połyskiem zmaczonej polewy.

Ujęłam przegub. Ręka ni zimna, ni ciepła, pozbawiona tętna. Szeroko otwarte oczy patrzyły w pustkę. W żrenicach, jakby zaciągniętych werniksem, odbijały się światła latarni. Dopiero teraz dostrzegłam trochę powyżej nasady brwi ciemną rozetkę podobną do znamienia.

Jego twarz! Wydała się znajoma. Gdzieś już musiałam widzieć tego człowieka, ale gdzie, w jakich okolicznościach, dlaczego leży pod tym domem ukrytym w gąszczu wiecznie zielonych krzewów, przeszyty grudką metalu, która pozostawiła mało widoczną ranę na jego czole?

Silniejszy powiew wiatru poruszył sosnami, przeczesał czuby jałowców, owionął żywicznym zapachem, przyniósł woń nadrzecznych łągów, przypadł do ziemi i legł. Taka sama cisza panowała w naturze, gdy kilka minut wcześniej wchodziłam przez gościnnie uchyloną furtę. Na zadrzewionym wzniesieniu majaczyła czarna sylweta spadzistego dachu z płamą palących się latarni pod okapem i odbłaskiem ognia pełgającym w jednym oknie. Poza tym żadnego oświetlenia, nie licząc żarówki przy bramie. Ścieżkę wiodącą ku domowi pogrążał mrok, u jej kresu potknęłam się o zabitego mężczyznę. Musiał przyjść tu niedawno, jego ręce jeszcze niezupełnie zeszytywniały. Unieruchomiło mnie przerażenie.

– Nie bój się – nagle powiedział ktoś obok. Omal nie zemdlałam. Nie miałam odwagi odwrócić głowy, aby spojrzeć w kierunku, skąd usłyszałam głos.

W zasięgu kandelabrow, nie wiem skąd, pojawił się szczupły wyrostek. Z pewnością nie wyszedł z drzwi prowadzących na ganek. Źródło światła miał za plecami, widziałam tylko zarys jego sylwetki.

– Wstań – znów zanurzył się w cień, pociągnął mnie za rękę.

– A on? – podniosłam się z kolan.

– On już nie potrzebuje pomocy, a ty tak. Jesteś półżywa.

– Przecież nie można tak po prostu odejść.

– Można. Jeśli się natychmiast nie pozbierasz, znikam – tykał mnie bezceremonialnie.

– Poczekaj! – zsunęłam z nóg sandały. Tylko nie pozostać samej na tym odludziu, z martwym człowiekiem, pośród złowieszczych krzewów o smoczycach kształtach.

– Prędeż, zaraz spadną tu łapsy – podniósł moje pantofle i ruszył przodem. Zwinny, cichy jak jaszczurka. Nie poprowadził dróżką, skręcił w gąszcz, mimo to szedł pewnie, musiał znać teren.

Spieszyłam za nim, potykałam się o korzenie, zataczałam w kłujące objęcia jałowców. Zaraz straciłam orientację kierunku, czasu, rzeczywistości. I nie czułam już nic więcej, tylko swoje płuca rozsadzane oddechem.

– Przyjechałaś wozem? – przystanął na moment.
– Tak – nie starczyło mi energii nawet na tyle, aby się zdziwić, skąd wie o aucie.
– Gdzie jest, pod bramą? – znów przyspieszył kroku.
– Nie. Pozostawiłam przy żwirówce. Myślałam, że stamtąd już blisko, ale posiadłość leży dalej od głównej drogi, niż przypuszczałam. Zawsze miewam kłopoty z oceną odległości.

Chłopiec nurkując pośród rozłożystych łap choiny wywiódł mnie na leśny trakt. Pod stopami zachrząścił szuter. Ostre kamyczki uwierały bosc nogi. Tutaj już wyraźnie dobiegał odgłos szosy, łuny samochodowych latarni dobywały i odkładały w mrok wyolbrzymione cienie drzew. Jeszcze trochę szybkiego marszu i natrafiliśmy na moją simkę.

– Ja poprowadzę – rozporządził wyrostek. Bez sprzeciwu podałam kluczyki.
– Co za nonsens kłaść pantofle, w których nie można chodzić – rzucił mi na kolana sandały i ujął kierownicę.

– Nie dlatego, wdepnęłam w krew.
– W takim razie dobrze zrobiłaś. Inaczej zostałby fatalny trop.
Nie pomyślałam o śladach, budziła grozę człowiecza krew roznoszona na butach. Ale nie wyjaśniałam mojego punktu widzenia.

– Szykowny ten twój wóz. Może jednak nie zwrócił niczyjej uwagi – powiedział.
Z poprzecznicy wytoczyliśmy się na pusty asfalt, połyskujący zorzą reflektorów dalekich jeszcze pojazdów, wynurzających się zza falistości terenu.

– Po co tu przyjechałaś?
– Nie twoja sprawa.
– Moja też. Razem uciekamy z miejsca, gdzie zamordowano człowieka.
– Skąd wiesz, może sam się zabił.
– Wiem.
– Jesteś dość przerażająca.
– Jeśli już, to p r z e r a ż a j ą c a. Jestem kobietą.

Przysięgłabym, że jeszcze przed sekundą rozmawiałam z chłopcem. Lecz odkąd się pojawił, osłaniała go ciemność. Wyraźnie widziałam tylko sylwetkę, a na skraju lasu, gdy bieглиśmy do mojej simki, raz jeden reflektory przejeżdżającego szosą samochodu wydobyły z czerni nocy jego twarz. Delikatną buzię z zapowiedzią uśmiechu w kącikach ust, w ramie kruczyc kędziorów. Wielkooką, z dziecinnie odwinętymi rękami, których cieniem ruchome światło okryło całe policzki. Wdzięczna pacholęca głowa z obrazów Murilla, malarza uduchowionych świętych i uroczych chłopców.

– Wyglądasz na wyrostka.
– Czasami tak wyglądam, gdy mi zależy. Przed tobą nie muszę udawać.
– Znasz mnie.
– Trochę o tobie wiem. Gaja, tak sygnujesz swoje prace, prawda? Ale nie martw się, jestem ci bardzo życzliwa.

– Kim jesteś?
– Niełatwo powiedzieć. Człowiek wciąż siebie stwarza, przez całe życie kształtuje osobowość. Jak rzeźbiarz dokłada pecyny do lepionej bryły. Pewno wiesz, co powiedział jeden starożytny gość, kiedy zagapił się na płynącą rzekę.

– Bardzo ładnie. A mniej filozoficznie?
– Możesz mi mówić Barakuda.
– Przecież to gatunek drapieżnej ryby.
– Właśnie tak się nazywam.

Czemu nie? I takie imię może nosić to Licho nieokreślonej płci, które pojawiło się nie wiadomo skąd, jakby wyszło z jednego z tych niesamowitych jałowców o przerażających kształtach: wielogłowych smoków, koszmarnych jaszczurów, gadzinowatych potworów gadających ze sobą szelestem kolczastych łapek. Mieszkaniec piekielnego zwierzyńca.

– Zabity człowiek miał w notesie adres twojego mieszkania i teatru, gdzie projektujesz kostiumy – zawiadomiło Licho.

– Obszukiwałeś trupa? – Mimo woli mówiłam jak do chłopca, a Ono nie protestowało. Nie zareagowało też na moje oburzenie.

– Miał również ogłoszenie z „Życia Warszawy”.

Milczałam. Znałam treść tego ogłoszenia. Zauważyła, wycięła z gazety i przechowywała je moja matka. Ją przyprawiało o bezsenne noce, mnie uwierało jak cierni. Wydobywało wspomnienia przeżyć, których nie chciałam pamiętać.

Złościło. Budziło opór wobec natręta naruszającego zamkniętą, zdawałoby się na zawsze, sferę doznań. Chociaż domyślałam się, nie chciałam wiedzieć, kim jest autor ukrywający się za hasłem oferty. Od dawna skutecznie odgradziłam się od przeszłości.

Pośród ludzi parających się kunsztami znano mnie przede wszystkim poci anagramem imienia, także anagramem podpisywałam swoje prace, nazwisko miałam po mężu, panińskiego nie używałam. Zresztą ludzi noszących je był kiedyś cały przysiółek. Przez lata rozbiegli się po Polsce, po świecie. Istniało znikome prawdopodobieństwo trafienia na mój ślad, zwłaszcza że nie mnie poszukiwano bezpośrednio. Anons brzmiał:

„Osoby posiadające wiadomości o Jadwidze Bartnik-Surażyńskiej, urodzonej w Wigajnach w Ziemi Suwalskiej w roku 1939, proszone są o napisanie do biura ogłoszeń w Warszawie, skrytka pocztowa numer... Zwrot wszelkich poniesionych kosztów. Nagroda”.

– Nie ciekawi cię to ogłoszenie? – osaczało mnie teraz Licho, usiłując zmusić do odpowiedzi.

– Nareszcie rozumiem, dlaczego się mną zająłeś. Nie powinnam stamtąd uciekać, a już na pewno nie z tobą. No cóż, straciłam głowę. Ale źle trafiłeś, ode mnie niczego się nie dowiesz.

Zaczął się śmiać.

– Winszuję dobrego nastroju, i co cię tak cieszy?

– Kiedy ludziom naprawdę pomagam, biorą mnie za szuję.

– A nie jesteś? I to jest takie śmieszne?

– Nie mam zamiaru cię szantażować, tyle dla jasności intencji. Natomiast zabity nazywa się Wincenty Baraszko. Coś ci mówi ten szyld?

– Nie jestem pewna, ale chyba tak... – naszła mnie myśl, czy przypadkiem nie o mnie tu chodziło. Spóźniłam się i dlatego żyję. Nigdy nie potrafię zdążyć na czas. Paradoks, czyżby uratowała mnie wada na co dzień komplikująca życie? Nie stawiałam się na własną śmierć. Tylko kto i po co miałby mnie zabijać!

– Z kim miałaś się spotkać w Orylu?

– A kto mieszka w tej ponurej daczce? – nie miałam ochoty na zwierzenia.

– Dom wcale nie jest ponury. Należy do Uthera Stunningtona, przedstawiciela kolumbijskiego konsorcjum plantatorów kawy z siedzibą w Nowym Jorku. Ale jego nie ma w Warszawie.

– Ten, kto ze mną rozmawiał, przedstawił się jako Stunnington. Imienia nie wymienił.

– Gaja, żaden Stunnington nie mógłby nastawać na twoje życie.

– Więc ilu jest tych Stunningtonów?

– Dwóch. Pendragon i Uther. Ojciec i syn.

– Skąd to wszystko wiesz, pracujesz u nich?

– Wiem. Nie pytaj skąd, nie odpowiem. Na jaką godzinę zostałam umówiona?

– Sama wyznaczyłam czas. Miałam być o dziewiątej, ale gdy dobrnęłam na miejsce, zrobiło się grubo po dziesiątej.

– Dlaczego nie wybrałaś sobie wcześniejszej pory?

– Kiedy pracuję, nie cierpię rozrywać dnia, a mój dzień pracy jest długi. Zwłaszcza ostatnio.

– Przygotowywałaś wernisaż.
– Nawet i o tym wiesz! Zdziwiasz mnie.
– O twojej wystawie w Ameryce może wiedzieć każdy, jeśli się chociaż trochę interesuje współczesną sztuką. Pisały o tobie francuskie gazety.
– Nie gazety, tylko jeden dziennik.
– Na to samo wychodzi.
– Jutro w związku z moją ekspozycją powinnam lecieć do Stanów.
– Dzisiaj. Minęła północ. Ale dlaczego w przeddzień wyjazdu pozwoliłaś ściągnąć się do Oryla? Nie mogłaś odmówić?

– Nie mogłam. Właśnie przed wyruszeniem do Nowego Jorku koniecznie musiałam obejrzeć wiejski dom kawowego przedstawiciela, aby dobrać odpowiednie tkaniny zamówione przez niego u marchanda, z którym ja z kolei mam kontrakt.

– Country house Uthera Stunningtona jest kompletnie urządzony!

– Zatem użyto pretekstu.

Wraca obraz zabitego człowieka. Nie mogę się go pozbyć, mający przed otwartymi oczyma, wciska się pod przymknięte powieki. Natrętny znak zapytania.

Chociaż nie potrafię przypomnieć gdzie, ale już kiedyś musiałam widzieć tę twarz żywą. Drobną siateczkę zmarszczek promieniście zbiegających ku skroniom i pionowe krechy wyraźnie zaznaczające zarys policzków.

Na tym nie koniec. Postarzałe oblicze, pokiereszowane bruzdami głębokimi jak pęknięcia, jest tylko liczmanem, spod którego wynurza się młodsze, też znajome.

– Łąka! Szpaler wykonany najprostszą techniką, od czternastego wieku znaną w Europie. Wyróżnia się oryginalnością splotu, odmiennością strukturalną, wychodzi w przestrzeń! – spiker prowadzący aukcję wymienia numer katalogowy i wznosi niczym dyrygent swoją batutę, srebrny młotek na długim trzonku z hebanowego drewna.

Ubrany w smoking z kremowego szopu, prezyduje na podwyższeniu za stylowym pulpitem w głębi sali, oddzielonej archiwoltą od części, z jakiej na niego patrzę. Wygląda jak środkowy obraz tryptyku, mając po bokach sklepione łukami przejścia, wiodące do dalszych galerii.

– Twórcze poszukiwania nowego wyrazu przez artystkę pochodzącą z kraju, którego pisana historia liczy dziesięć wieków, gdzie tradycja i kunszt kobierniczy trwa od lat tysiąca... – spiker zawiesza głos, daje zgromadzonym posmakować to millennium.

Reklama.

Hermes spogląda porozumiewawczo. Nie jest ignorantem, nie uważa, że Polska to tylko Kościuszkowski, Pułaski, nowojorscy dokerzy, posiadacze stad w stanie Teksas, polish jokes, komuniści, pontyfikat Jana Pawła II i Czesław Miłosz, amerykański profesor z Berkeley nagrodzony Noblem za trudne wiersze w trudnym języku. Jednak postarał się, aby podczas aukcji pewne fakty z dziejów i geografii zostały zaakcentowane. Widać sceptycznie ocenia swoją publiczność, zwłaszcza jej wiedzę o kulturze ludu żyjącego w Europie między Tatrami a Bałtykiem.

Prezentowana tkanina, jedna z moich wczesnych prac dzianych, nie była poszukiwaniem nowego wyrazu, tylko wtedy nie miałam na krosno. Natomiast prawdziwym jej walorem jest koloryt. Gama przyćmionych tonów zieleni, wysmakowanych, delikatnych: irysowej, soczystej, malachitowej i sap green – barwy, jaką daje sok z jagód szakłaku.

Tak zaczęła się licytacja. Ogarnia mnie trema.

– Będzie dobrze, Gaja – uśmiecha się do mnie Hermes, to znaczy przychyła ku mnie głowę, bo promienieje wciąż, permanentnie. Ja także prezentuję radosne oblicze.

Radosne oblicze, poza przedsiębiorcą pogrzebowym i tylko podczas pełnienia obowiązków służbowych, powinien mieć każdy: i ten, kto odniósł sukces – aby go utrzymać, i

ten, co się po niego wspina – aby go osiągnąć, i ten, co go nie zdobył i nie zdobywa, i nawet nie ma widoków na zdobycie – aby zachować pozory, że nie jest z nim źle.

Chyba że komuś już na niczym nie zależy i bez oporów idzie na dno. Ale tu, w salach wystawowych Muzeum Sztuki Współczesnej przy Madison Avenue, wynajętych przez Hermesa na naszą wystawę, nie ma przegranych. Ich dziedzina rozpościera się dalej, gdzieś od ulicy Osiemdziesiątej Wschodniej, ale owych ludzi nie interesują imprezy w tej części Manhattanu, gdzie portierzy wyglądają jak generałowie, a dorożkarze powożą w cylindrach. A i Hermes nie posyła zaproszeń na wernisaże do ubogich dzielnic i z całą pewnością nie ma tam ani jednego znajomego. To ziemia groźna, groźniejsza wraz z rosnącymi numerami. Na Sto Dwudziestej zaczyna się Harlem. A do Harlemu biali już nie chodzą. Od dawna.

Nie zapytałam Hermesa, od jak dawna. Zdawał się wstydzić ciemnych problemów Miasta, które kocha bezkrytycznie. Dla niego t u jest środek świata, stąd kultura, stąd sztuka, stąd największa myśl epoki – na cały glob.

PRZEŻYCIE Z ORYLA TKWI WE MNIE JAK CIERŃ. TWARZ ZABITEGO PRZYWIOZŁAM ze sobą. Dręczy w nie spane noce, nie daje zapomnieć we dnie. Chociaż niedługi czas, poprzedzający dzisiejszy wieczór, miałam szczelnie wypełniony, jego obraz dopada mnie w nowojorskiej windzie, towarzyszy na ulicy, wchodzi ze mną do drugostoru, czatuje późną godziną w hotelowym pokoju, gdy zamykam za sobą drzwi. Martwe oczy ścigają mnie nawet w tej sali światłami odbitymi w kryształowych soplach żyrandoli, promieniami załamującymi się w rautach flintów.

I niechęć do siebie, i moralny kac przez tę tchórzliwą ucieczkę.

– Stunningtonowie nie są twoimi wrogami. Przekonasz się – jeszcze raz zapewniło Licho, zatrzymując wóz w osiedlowej uliczce na Stegnach.

Nie odezwałam się. Myślałam, dlaczego Ono zahamowało właśnie tu, na Sycylijskiej. Powiedziało, zanim zdążyłam Zapytać.

– Wysiadam. Dalej będziesz musiała radzić sobie sama – znów spojrzał na mnie spod wywiniętych rzęs czarnooki chłopiec z obraza Murilla. – Zresztą stąd na Sadybę niedaleko, jezdnie puste, a ty jesteś już dostatecznie opanowana.

Ono wiedziało nawet, gdzie mieszkam.

– Trzymaj! – wcisnęło mi w rękę wymiętą kopertę ze skrawkiem papieru. – Lepiej dla wszystkich, jeśli tego ogłoszenia nie znajdą przy nieboszczyku.

Nie zapytałam, kim są ci wszyscy.

– Twoje pantofle sama wyrzucę, żebyś ich w ostatniej chwili nie pożałowała – rozporządziło Ono. I jeszcze z dłonią na kłamce: – Jedź prosto do domu i nie zrób jakiegos głupstwa po drodze. Żadnego meldowania milicji, bo wsiąkniesz w niekończące się wyjaśnienia i z wyjazdu do Stanów nici. A w Orylu i bez twojego wstawiennictwa z pewnością już są gliny i robią, co mogą, to znaczy niewiele. Ale ty nie daj zmarnować sobie szansy.

Nikt mnie nie musiał przekonywać. Termin przybycia zastrzegł kontrakt. Niedotrzymanie warunków pociągało dotkliwie kary umowne. Nie mogłam komplikować odlotu, na który miałam rezerwację, i zaprzepaścić wernisażu! Nie stać mnie było ani finansowo, ani psychicznie na zmarnowanie możliwości, jaka trafiała mi się po raz pierwszy w życiu. A skończyłam już czterdzieści trzy lata.

Rano wsiadłam w samolot do Nowego Jorku. Razem ze mną przybył cień ZABITEGO I SIĘGA WSZĘDZIE, GDZIE JESTEM.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI